Nr. 194. Lwów Sobota dnia 26 Sierpnia. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.

Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h.

Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . [illegible]

Dziś: św. Zefiryny S. Maksyma W. | Jutro: Przen. św. Kazim. Micheasza Pror. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Rękopisów Redakcya nie zwraca. | Wschód słońca o godz. 5 m. 16, Zachód „ „ 6 m. 44 | Długość dnia godzin 13 m. 28, Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Z mętów życia.

I. W kilku ostatnich latach Lwów przybrał te i owe cechy wielkomiejskie. Miasto niemal stoośmdziesięciotysięczne musiało uznać konieczność niektórych „europejskich“ urządzeń. Koszt ich podniósł miejskie podatki, podrożył niektóre artykuły spożywcze i wyśróbował czynsze. Wogóle mieszkaniec Lwowa często ma sposobność w kieszeni swojej widzieć barometr, który mu wskazuje wzrost ludności naszego miasta. Na pierwszego lokator płaci czynsz i żżyma się, że jego mieszkanie tak drogo kosztuje. Właściciel domu, człowiek uprzejmy, uważa za stosowne wytłómaczyć się. Powiada, że nie winien zdzierstwu, bo to nie on zdziera, lecz z niego zdzierają. To podwyższony grosz czynszowy! Ha, to ten teatr, co tyle pieniędzy kosztował miasto, a nic nie przynosi. I wyciśnięty na wzór cytryny lokator klnie i wymyśla nierentownemu „przybytkowi sztuki“. Rzeźnik każe za funt mięsa płacić sobie 40 ct. Kucharka gniewa się, że drogo. — Alboż to my winni, paniusiu — powiada zabójca zwierząt — to ta rzeźnia przeklęta! — Przeklęta rzeźnia! — A nabiał, a drób, a chleb na targu, wszystko drogie, bo miasto bierze opłaty na rogatce. Skarżą się chłopi i podmiejscy przekupnie, że nie oglądali jeszcze targu, a już na rogatce każą im płacić „parę szóstek“.

„Ach ten teatr“, „ta przeklęta rzeźnia“, „to wszystko ta akcyza“ — oto błędne kółko narzekań, które się słyszy codziennie do okrutnego znudzenia niezliczoną ilość razy. Nie zdarzyło się jednak jeszcze podobno nikomu słyszeć, by ktoś narzekał na własną... lekkomyślność.

W mieście jest ogólna depresya ekonomiczna. Wszyscy narzekają zgodnie na drożyznę i wszyscy powtarzają, że „żyć już nie można“. Jest rzeczą znaną, że kredyt prywatny niesłychanie upadł we Lwowie. Na śmiesznie drobną sumę żądają banki podpisów zwanych „prima“. Wszyscy są obdłużeni; państwowych urzędników, którzy nie mają t. zw. kondyktów na pensyi, na palcach w całem mieście policzyćby można. Codzień słyszy się o jakiejś nieuczciwości. Defraudacye od paru lat już należą do nieinteresującej „kroniki brukowej“; kronikarski tytulik „samobójstwo“ nie schodzi ze szpalt dzienników, a ulega czasem tylko odmianie na liczbę mnogą; palcem już dziś nie wytykają ludzi zrujnowanych, bo by zbolał każdego palec wskazujący; skandaliczne opowiadania o bankructwach, o nabieraniu ludzi przez nieuczciwych dłużników, stały się nudne i pospolite. Słowem popularnemi stały się wszystkie objawy życia w warunkach „nad stan“.

Narzeka się ustawicznie i głośno na drożyznę. A podobno ludzie niemający wielkich dochodów, żyją też i w miastach od Lwowa znacznie większych, w których „lwowska drożyzna“ byłaby niesłychaną taniością. A jednak ci ludzie żyją podobno przyzwoicie.

My narzekamy na drogi teatr i znienawidzoną rzeźnię, ale nie narzekamy na „kochane handelki“ i „miłe kawiarenki“. Handelki są naszą specyalnością i wcale nie są „europejskie“, a zrujnowały one nas nie mało. Wesołe śniadanka, kosztujące sumy, a płacone przez ludzi, których żona i dzieci na pół miesiąca nie mają tego, co kosztuje jedno takie śniadanie, niejednego wpędziły już do ruiny. Ile się u nas na nie już nie nawyrzekano. Ale przyznać należy, że swojskie „śniadanka“ zbladły, wobec nowego wielkomiejskiego urządzenia... nocnych kawiarni. A tych nocnych kawiarni tj. lokali, które wcale się w ciągu doby nie zamykają, namnożyło się we Lwowie w kilku latach ostatnich bez liku. Ile istnieje takich lokali podrzędnych, trudno jest obliczyć. Lepszej sorty, tj. istniejących w śródmieściu i na pryncypalnych przeważnie ulicach miasta, jest 16. Nie policzono w tem pięciu przez całą noc, aż do czwartej zrana otwartych kawiarni, które dotąd niczem jeszcze nie dały powodu do złej sławy. Oprócz owych 16 lokali przeważnie utrzymujących kapele nocne, istnieją dwa do późnej nocy otwarte tingle i wiele do późnej nocy otwartych restauracyj z muzyką. Porachujmy, co to kosztuje? Nie licząc tingli i restauracyj z muzyką, tylko owe 16 niezamykających się wcale kawiarń zatrudnia w okrągłej cyfrze około 80 „kasyerek“, które ani z kasą, ani wogóle z rzetelnie kupiecką stroną interesu nic nie mają wspólnego; dalej około 200 kelnerów i garsonów, którzy są wszystkiem innem, lecz nie kelnerami; te lokale, które nie używają muzyki wojskowej ani automatycznych fortepianów, zatrudniają około 100 dziewcząt „muzykantek“ i mają 65 separatek w najgorszem znaczeniu. Wreszcie lokale te mieszczą pod swoim dachem, licząc jedynie proceder nocny, na jedną noc przeciętnie do 3000 „gości“, którzy dają targować przeciętnie licząc około 6000 koron za noc. Gdy zważymy, że do tych lokali niezwykle wyjątkowo zajdzie ktoś, kto chce się tylko napić kawy lub przeczytać gazety i że do lokali tych uczęszcza tylko publiczność z warstw średnich, bo jako mieszczące się w śródmieściu i mające ceny wysokie, są one za drogie i nieponętne dla ludzi z warstw niższych, dla ludzi zaś z warstw lepszych są za liche i za ordynarne — tedy przyjść musimy do wniosku, że sama klasa średnia wydaje we Lwowie na nocne kawiarnie 6000 koron dziennie, t. j. 2,160.000 koron rocznie. Cyfra to nieprawdopodobna a jednak prawdziwa! A cyfra ta określa tylko ten wydatek, który mniej więcej można obliczyć. Te wydatki zaś, które to nocne życie pociąga za sobą w różnych konsekwencyach, są nieobliczalne, a kilkakroć z pewnością przewyższają tę sumę. Np. napróżno trudziłby się, ktoby chciał obliczyć, ile pieniędzy w tych lokalach przesunie się przez zielone stoliki przy grze w karty lub w hazardach granych w „domino“, ile przegrają ludzie w niewinnej skądinąd grze w bilard i t. p.

Warto jest temu życiu przyjrzeć się z bliska.

Jak wyglądają owe kawiarnie? Z zewnątrz niektóre z nich, a przedewszystkiem te ośm, które znajdują się przy dwóch najpryncypalniejszych ulicach naszego miasta prezentują się nawet dość okazale. Wielkie szyby w oknach rzęsiście wieczór i w nocy oświetlone, elektryczne lampy łukowe u wejść, wszystko to zewnętrznie wygląda wcale dobrze. Wewnątrz zaś najwyżej dwie z nich uważać można za eleganckie. Wszystkie są urządzone niesłychanie tandetnie. Wielkie zwierciadła w złoconych ramach, oto dekoracya mniej więcej wszędzie jednakowa. Również wszędzie jednakowy jest brud i zaducha. Jak wspomniano dwie najbardziej eleganckie są jeszcze jako tako utrzymane, inne są tak niesłychanie brudne, że wejść tam w dzień jest czemś nad wyraz obrzydliwem. To też dzienna klientela tych lokali wogóle nieliczna, jest też bardzo niedoborowa. Stanowią ją pośrednicy i podrzędni „geszefciarze“, którzy tam niejako mają swoje kancelarye, więc swoje stałe godziny urzędowania, załatwiają się z klientami, tam odbierają listy itd. Charakterystyczne jest stopniowanie materyalnej i moralnej wartości tych ludzi grupujących się w tych kawiarniach, odpowiednio do położenia i cen tych lokali.

Przedpołudniem wszystkie stoją niemal puste. Lokal wypełnia okrutna zaducha, dym cygaretowy, odor potu i lichego alkoholu, resztki przez całą noc zatrutego powietrza. Tu i ówdzie tylko siedzi jakiś „gość“. Jest to na pewno albo ktoś z prowincyi, który się tu zabłąkał lub któryś z tych ludzi, którzy czerpią środki utrzymania z nocnego życia tej kawiarni. Wyjątki są rzadkie. O wczesnej porze popołudniu od jakiejś wpół do drugiej zaczynają wypełniać się ludźmi zaledwo owe dwa najbardziej eleganckie z tych lokali. Jest to znamienne. Dzienną klientelę tych kawiarni stanowią pośrednicy i „geszefstmani“ czyli przeważni izraelici. Żyd zaś jest oszczędny i musi być dobrze sytuowanym, by sobie pozwalał na luksus choćby tak drobny, jak wypicie po obiedzie filiżanki czarnej kawy. To też o tej porze „na czarną“ schodzi się tylko „śmietanka“ tej kawiarnianej klienteli. W bardziej eleganckim lokalu z dwóch, o których mowa, schodzą się pośrednicy handlowi lepszej sorty i meklerzy pieniężni nierobiący „interesów“ niżej jakiegoś tysiąca koron. W drugim już dobór gości gorszy, przeważnie pośrednicy pieniężni lub bez ściśle określonej branży. Zawierane tu interesy przedstawiają cyfry nie większe nad 1000 koron, lecz i nie mniejsze jak dwieście koron. Ruch jest dość żywy. Grają w domino i w karty. W rękach grających nie widać przeważnie innych kart, jak żydowskie. Grają zwykle po dwóch. Naokoło liczne grupy przypatrujących się, krzykliwych „kibiców“. Pod ręką mają grający tabliczki i kredki, któremi wypisują dla niewtajemniczonych dziwaczne znaki, nieco podobne do rzymskich cyfr. Gra, w którą grają nazywa się „derdel“; w zasadzie jest ona niewinną, przy odpowiedniej jednak stawce może być kolosalnie hazardowną. Można być jednak zupełnie o to spokojnym, że ci ludzie, grając ze sobą, z pewnością się nie zgrywają.

Około piątej, gdy nadchodzi czas podwieczorku, zaczynają się zaludniać już i inne kawiarnie. Obraz życia tu mniej więcej taki sam jak tam: gwar i szwargot tylko głośniejszy, „towarzystwo“ bowiem gorsze. Robione interesy są znacznie mniejsze od tamtych i niemal z reguły mniej uczciwe. Trzy do czterech kawiarni nawet o tej porze jeszcze stoją pustką i zaludniają się dopiero około 8 już tem towarzystwem, które tu noc całą przepędza.

To życie dzienne tych kawiarni, a raczej nie tylko życie, lecz jak Niemiec powiada *Leben und Treiben* pozornie jest zupełnie niewinne i nie ma w sobie nic zasługującego na uwagę. Lecz tak nie jest Uważnie tylko patrzeć należy. To życie dzienne w najściślejszym jest związku z życiem nocnem tych kawiarni. Tu w dzień rozgrywa się z reguły expozycya lub epilog tego dramatu, którego akt drugi grany jest w nocy. Oto mały obrazek:

Do lokalu wchodzi człowiek, który widocznie do tutejszego towarzystwa nie należy. Z dziesięciu takich do ośmiu na pewno przypuszczać można, że jest to urzędnik, o dwóch innych, że człowiek, który trwoni pieniądze ojca, żony lub wogóle te, których nie ma. Przybyły nie może zoryentować się w zgiełkliwym ruchu. Czeka więc nieopodal wejścia. Podchodzi ku niemu kelner. Przybyły pyta o któregoś z pośredników. Jeśli kelner odpowiedział, że ów jest lub że zaraz nadejdzie, przybyły siada gdzieś na uboczu. Za chwilę zbliża się do niego upragniony „dostawca gotówki“. Mylnem jest mniemanie, że musi być to koniecznie żyd. Przeważnie tak bywa, lecz jest wielu chrześcijan, którzy trudnią się tym wstrętnym procederem.

Obydwaj przywitali się tak uprzejmie i serdecznie, jak dwaj przyjaciele. Zaczyna się rozmowa. Potrzebujący pieniędzy jest zdenerwowany i mówi szybko; jego interlokutor spokojny i niezaanimowany. Przysunąwszy się blisko do stolika, słyszeć można mniej więcej taką stereotypową rozmowę:

— Panie, to już koniecznie najmniej stopięćdziesiąt guldenów!...

— Może; a do kiedy?

— Za trzy miesiące...

— Nie może być. Na miesiąc.

— Za krótko.

— Nic nie szkodzi. Pan da à conto, a resztę sobie sprolonguje.

— Wolałbym bez prolongaty.

— Oj jej, bez prolongaty i tak się nie obejdzie, czy za trzy, czy za sześć miesięcy. A tak pan coś sobie spłaci, a tych parę guldenów przy prolongacie, co znaczy? Pan teraz potrzebuje. I jak pan teraz będzie miał, to reszta już dobrze.

Tymczasem na rachunek potrzebującego gotówki kelner podaje dwie herbaty z koniakiem i cygara. To są trzy dania *sine qua non*. Herbata lub czarna kawa (wedle gustu) dlatego, że w kawiarni nie można siedzieć darmo, koniaki dlatego, że gospodarz chce zarobić i tylko pod tym warunkiem toleruje te interesy, a cygara dlatego, że pośrednik lubi palić dobre cygara, które go nie kosztują.

Nad herbatą unoszą się kłęby pary, mekler z olimpijskim spokojem miesza łyżeczką herbatę. Przez chwilę jest cicho. Wreszcie siedzący z nim przy stole odzywa się:

— Niech będzie na miesiąc.

— Dobrze, a kto podpisze?

— Jakto?

— Jakto? pan wie, że ja bym panu samemu dał, ale ja nie mam swoich pieniędzy; ja dopiero wyszukam takiego, co ma „pana“, i on przyniesie. On pana nie zna; tak dwa podpisy, to nie jeden; ja sam za pana także poręczę.

Teraz pada z ust rozmawiających kilka nazwisk. Ten, nie, tamten nie. Wreszcie zgodzono się na jednego. Nazwisko jego wymieniono kilka razy. W tej chwili potrzebujący pieniędzy wypił kieliszek fałszywego koniaku, który zapomniał wlać do szklanki herbaty i popił łykiem gorącej herbaty. Na moment zamilkł, widocznie myślał, a potem rzekł:

— Dobrze!

Kto umie patrzeć na ludzkie twarze, zrozumie, co przemknęło przez mózg tego człowieka. Jeśli to jest jeden z pierwszych weksli, to podpis będzie prawdziwy, jeśli nie, to podpis będzie fałszywy — ale będzie.

— Więc dobrze. Lecz, panie, ja potrzebuję gotówką 150 guldenów.

— Dobrze! Pan podpisze 200 złr.

Długi targ wykluczony. Więc zgoda.

— Kiedy?

— Jutro rano.

— Ja potrzebuję dziś.

— Trudno; ja się będę starał. A co ja zarobię? Ja nie mam swoich pieniędzy, ja muszę dopiero poszukać takiego, który ma takich, co dają.

— Ile pan chce zarobić?

— Co pan da?

— Piątkę.

— Co? ja takich interesów nie robię za piątkę.

— A ile?

— Ja się muszę podzielić z tamtym. On musi zarobić, a i ja coś muszę mieć.

Targują się. Staje wreszcie na piętnastu guldenach. Potrzebujący pieniędzy płaci za koniaki i cygara; wstaje.

— Więc jutro — powiada pośrednik.

— Jakto jutro? ja potrzebuję dzisiaj!

— Proszę pana dobrodzieja, gdzie ja już dziś znajdę. Chyba pan da na dorożkę.

— Ile?

— Trzy korony?

— Co??

— No, ja za nim muszę jeździć. To kosztuje...

I ten warunek przyjęty i zaraz spełniony.

— A więc, o której?

— O siódmej tutaj.

— Dobrze.

Jest parę minut przed siódmą W tej samej kawiarni. Nasz bohater już siedzi przy stoliku. Udaje, że czyta gazetę. Jeśli jest uważny, ma otwartą gazetę na tekście, jeśli nie, to na anonsach. Spoziera na zegarek, raz, drugi, trzeci itd. Bije siódma. Pięć, dziesięć minut po siódmej. Przychodzi mekler. Potrzebujący pieniędzy odetchnął.

— Dobry wieczór panu — powiada mekler. Wita się i siada.

— Więc? — zagaduje go siedzący przy stoliku pan.

— Zaraz, zaraz przyjdzie, tak prędko nie może. Tymczasem napiłbym się herbaty.

Na stole zjawia się obowiązkowa herbata z koniakiem. Potem cygara.

O wpół do ósmej przychodzi kolega pośrednika, który zapoznaje go ceremonialnie z potrzebującym pieniędzy. Dla przybyłego podają jeszcze jedną herbatę z koniakiem.

— No, ja już znam interes — zaczyna kolega pośrednika. — Ale na dziś mogłem się wystarać tylko tymczasem ośmdziesiąt guldenów; resztę dam jutro wieczór.

— Nie może być — przerywa nerwowo potrzebujący pieniędzy.

— A jak on nie ma więcej, to co? — przemawia pośrednik.

Potrzebujący jest zdenerwowany. Nie ma zaufania do dających pieniądze. Weksla oddać nie chce bez otrzymania całej kwoty, bez weksla nie dostanie żadnych pieniędzy. Zaczyna się debata. Wreszcie kolega pośrednika wpada na myśl szczęśliwą. Oto przypadkiem spostrzegł jednego ze swoich znajomych, który zwykle ma pieniądze przy sobie. Ten by tymczasem dopożyczył, lecz trzeba dać mu „na wino“. Potrzebujący pieniędzy godzi się. Przywołują owego znajomego. Pośrednik i jego kolega proszą go usilnie o dopożyczenie siedmdziesięciu złotych do jutra. Znajomy wypija herbatę z koniakiem i wreszcie mówi:

— No, ja dam, ale muszę o coś jeszcze pana zapytać — zwraca się do pośrednika.

Odchodzą obydwaj na moment do drugiego pokoju. Pośrednik daje znajomemu siedmdziesiątek; on chowa je do zatłuszczonego portfelu. Wracają obydwaj do stolika.

— No, no, wszystko dobrze, ja dam — powiada znajomy.

Więc interes szczęśliwie załatwiony. Kolega pośrednika daje ośmdziesiąt złotych i bierze weksel od potrzebującego pieniędzy. Znajomy dopłaca siedmdziesiąt guldenów i dostaje za to od pożyczającego dwa złote „na wino“. Pośrednik dostaje za swoją fatygę od pożyczającego umówione 15 złotych. Pożyczający chowa pieniądze do kieszeni, płaci za herbaty, koniaki i cygara i odchodzi. Teraz pośrednik odbiera od swego kolegi weksel i daje mu dwie korony za jego „fatygę“. Znajomy oddaje pośrednikowi połowę tego, co dostał „na wino“, t. j. jednego guldena.

Interes skończony. Ciekawy, który całą tę scenę podpatrzył, oblicza sobie, ile kosztował owego człowieka cały ten interes.

A więc:

dostał gotówką	zł.	150 ct.	—
zapłacił popołudniu dwie herbaty, dwa koniaki i dwa cygara z napiwkiem dla kelnera i garsona	„	1 „	18
dał na „dorożkę“	„	1 „	50
zapłacił wieczór cztery herbaty, 4 koniaki i cygara z napiwkiem	„	2 „	26
dał „na wino“	„	2 „	—
dał „za pośrednictwo“	„	15 „	—
a więc zostało mu gotówki	złr.	128 ct.	06

za nie dał weksel wystawiony na jeden miesiąc na 200 złr.

Co będzie za miesiąc? Oczywiście weksla zapłacić nie będzie mógł. Pośrednik po długich targach zgodzi się prolongować weksel znów na miesiąc za 15 złr. i pięć dla siebie „za fatygę“. A za drugi miesiąc okaże się niemożliwem jeszcze raz prolongować. Lecz pośrednik znajdzie radę. Oto wziąć gdzieindziej nieco więcej i ten weksel zapłacić, a jeszcze resztę wziąć dla siebie. I powtórzy się raz jeszcze opisana historya, tylko nie o 150 złr., lecz o 250 złr. i t. d. w błędnem kółku bez końca, a raczej z końcem, który może przyoblec rozmaite formy: bogatego ożenku, defraudacyi lub samobójstwa.

Słuchając toczących się w tych kawiarniach rozmów i śledząc uważnie robione tam interesy, można dowiedzieć się o rzeczach nieprawdopodobnie obrzydliwych i cynicznych. Z inte-

3)

Feljeton literacki.

Trzy lata w więzieniu pruskiem. *Pamiętnik więzienny dra Kasimierza Rakowskiego.* Kraków. —

(Ciąg dalszy).

Październik 1902.

„...Dla niektórych chorych, potrzebujących ciągłego nadzoru, jest osobna wielka sala na pierwszem piętrze, o pięciu łóżkach. W nocy siedzi tam osobny dozorca nocny, a we dnie jeden z więźniów (zdrowy) specyalnie do tego odkomenderowany, który w tej sali razem z chorymi przebywa. Na takich stróżów wybierają zawsze najsilniejszych chłopów, bo często się zdarza, że muszą używać przemocy wobec waryatów. To prowadzi do strasznych nadużyć. Najjaskrawsze zaszło w maju r. b.; gdym się dostał do lazaretu, na dole spoczywało właśnie ciało świeżo zmarłego więźnia, niejakiego Kolasińskiego. ...Skazany był na 3 czy 4 lata za podpalenie, a przysięgał w godzinie śmierci, odzyskawszy przytomność, że niewinnie. Spalił się Niemiec, więc winnym mógł być tylko Polak. Inny Niemiec zeznawał na jego niekorzyść. Biedny Kolasiński, zdaje się, robotnik na roli, pozostawił niezaopatrzoną żonę i czworo, czy pięcioro dziatek. Nie mógł biedaczysko tego znieść i dostał obłędu. Chłop jak dąb, w sile wieku. W lazarecie był czas jakiś; chwilami się uspokajał, to znów go szał ogarniał. W maju dostał takiego napadu, który się powtarzał co noc. Wrzaski jego rozlegał się po całym budynku; w nocy się awanturował, tłukł głową o ścianę, we dnie śpiewał i ryczał. Połknął metalowy krzyżyk i medalik, który nosił na szyi. Krzyżyk odnaleziono w ekskrementach, medalika nie. Za brak uwagi dostał ogromną naganę za to stróż i dozorca. Stróżem był wtedy Niemiec Hugo Wuttke z Iławy (Eylau), wypuszczony w lecie 1902 r. Gdy Kolasiński się znów w nocy awanturował, odstawiono go do celi waryatów. Nie obeszło się przytem bez bicia. Widział to inny więzień, Berthold Krüger. Ta cela, to izba bez okna i bez wszelkich przedmiotów. Na ziemi leży masa waldharu, pęki pakuł i włosia, ściany poobstawiane materacami. Wpuszczają tam waryata zupełnie nago; zazwyczaj każdy już po krótkiej godzinie się uspokaja i zagrzebuje w barłogu. Nie tak czynił jednak Kolasiński. Awanturował się i tam. W nocy więc zamykał się z nim ów Wuttke, dozorca i którykolwiek z posługaczy. Co się tam działo, wiem tylko z relacyi Nowaka (służącego więziennego). Uciszali waryata tem, że go walili kułakami w brzuch i „słabiznę“, aby tchu nie mógł złapać. Co rano wychodził stamtąd siny, doktorowi się nie skarżył, bo waryat. Wkrótce umarł na zapalenie błony brzusznej. Odtąd Wuttke sypiał spokojnie w nocy. Takie pastwienie się nad bezbronnym nie jest w pruskiem więzieniu czemś niezwykłem.

23 lutego 1903.

....Na krótko przed pójściem na kilkotygodniowy urlop Numrosky dopuścił się w więzieniu ohydnego czynu. Z więzienia małoletnich przyprowadzono do piwnic w lazarecie jakiegoś młodego chłopca, który podobno gryzł i kopał dozorców. Okuto go w kajdany i okutego na rękach i nogach przytwierdzono antabami żelaznemi do ściany, tak, że nie mógł się ruszać. Kto dał to bezprawne polecenie, nie wiem: małoletnich bowiem tak okuwać nie wolno. To wiem jednak, że w towarzystwie posługacza Stanisława Witkowskiego, pochodzącego z Wodzieczny, powiatu kępińskiego (w Ks. Pozn.) Numrosky poszedł do owej celi piwnicznej, gdzie wisiał przykuty do ściany ten młody chłopak i tam kilkakrotnie silnie go policzkował. Człowieka, który nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą, będąc przykuty do ściany“.

Pod tą samą datą zanotował dr. Rakowski inne łotrowstwo, którego ten sam Numrosky dopuścił się na przybyłym świeżo do lazaretu kupcu Rosenbergu z firmy Marcasse w Bydgoszczy. Jest to diabetyk i odrazu dostał się do więziennego szpitala na pobyt paromiesięczny.

„....W przeddzień swego wyjścia na urlop Numrosky umieścił Rosenberga w celi, gdzie dotychczas przebywali sami syfilitycy. Umieszczono go w tej celi bez uprzedniej desynfekcyi materaców lub kołder. W tej to celi przebywał kilkanaście miesięcy Maschke, człowiek z gnijącem ciałem i olbrzymiemi ociekającemi ranami na nogach. Przebywał tam kilkakrotne operacye. Po nim stała cela pusta. Potem był w niej jakiś Pfitzner, który z wyprawy pruskiej do Chin przywiózł sobie jakiś podobny bukiet. Potem (zawsze bez desynfekcyi) wpakowano do tej celi umierającego suchotnika Byśkiewicza, któremu już nic wogóle nie mogło zaszkodzić, a teraz — Rosenberga. Desynfekcya tu istnieje wogóle w teoryi.

9 marca 1903.

Jest tu od niedawna waryat Kuropka, Szlązak, młody, 20-letni chłopak, skazany za zbrodnię gwałtu. Co parę dni dostaje gwałtownych ataków obłędu, które — jak przypuszczam, są bezpośredniem następstwem znęcania się nad nim. Sam byłem świadkiem wprawdzie nielicznych tylko wypadków pastwienia się nad tym waryatem, ale to, com widział wśród białego dnia, wystarczy, aby sobie wytworzyć pojęcie, co dozorcy z nim wyprawiać muszą wśród czterech ścian. Lekarz kazał Kuropkę dwa razy wykąpać. Kąpiel dla waryatów tutaj jest przedmiotem panicznego strachu, bo wiedzą, że z reguły jest połączona z biciem. Więc Kuropka opierał się i gwałtem musiano go zaciągnąć do wanny przedpołudniem, gwałtem popołudniu. Nie obeszło się przytem bez kułaków. Na rozkaz dozorcy Mörkera bił Kuropkę więzień Staniszewski, dozorujący chorych. Sam Mörker też silnie uderzał Kuropkę. Wiem to z opowiadań samego Staniszewskiego. Natomiast byłem naocznym świadkiem następującego zajścia:

Popołudniu był mróz silny. Mnie w futrze wcale nie było za ciepło, gdym się przechadzał około 3-ciej po ogrodzie szpitalnym. Przechadzając się wzdłuż muru w pewnej odległości od budynku lazaretowego, przypadkowo rzuciłem spojrzenie na okno, wówczas otwarte, które oświetla klatkę schodową w budynku od strony ogrodu. I widziałem, jak dozorca Mörker za kark sprowadzał z pierwszego piętra po schodach więźnia Kuropkę; jedną ręką ujął go za kołnierz z tyłu tak silnie, że miałem wrażenie, że Kuropka się dusi, bo twarz mu spąsowiała i nabrzmiała, — a drugą ręką, uzbrojoną w pęk kluczy, uderzał go silnie w biodra, to w głowę, to po ramionach.

Po chwili zjawił się Kuropka w ogrodzie lazaretowym w towarzystwie więźnia Staniszewskiego. Był cały siny i pąsowy, dygotał jak w febrze, nie mógł kroku postąpić. Staniszewski z tyłu silnymi kułakami zmuszał go do postępowania. Kuropka, jakem się dowiedział od Staniszewskiego, dopiero co się kąpał w gorącej wodzie i nawet ubrany był tylko w płytkie pantofle, włożone na gołą nogę, bez szkarpetek w drelichawe spodnie (bez spodniej bielizny) i w takąż kurtkę. Tak ubranego kazał go Mörker prosto z wanny wyprowadzić na mróz co najmniej 9 stopniowy, połączony z silnym wiatrem.

Nie mogłem znieść tego widoku istoty ludzkiej, nękanej ciągłem biciem i narażonej na pewną śmierć wskutek gwałtownego zaziębienia — zakazałem więc Staniszewskiemu bić go w mojej obecności, a współwięźniom Kuropki, przywołanym do okna, kazałem rzucić przez okno szlafrok, aby choć trochę zabezpieczyć waryata od zimna. Na moje zlecenie szlafrok zrzucono przez okno do ogrodu, ale Mörker za to tych więźniów ukarał.

(Dokończenie nastąpi).

resów w tych kawiarniach robionych złożyły się znane afery oficerów: Więckowskiego, Achta i Hekajły, niedawno zasądzonych na długoletnie więzienie w twierdzy. Z klienteli pośredników, urzędujących w tych kawiarniach, rekrutują się defraudanci, ludzie wykolejeni z najlepszych torów życia, a nierzadko później samobójcy.

A przyznać należy tym pośrednikom, że w nieuczciwych swoich interesach obserwują oni przecież pod pewnymi względami rodzaju kupieckiej uczciwości. Są niektórzy z nich znani jako „fachowcy“ do pewnych rodzajów lichwy, znowu inni trudnią się sprawami asenterunkowemi, inni fałszywemi fasyami podatkowemi, inni staraniem się o dostawy niedozwolonymi środkami itp. Interesowany składa pewną umówioną kwotę na ręce pośrednika. Gdy umówiona rzecz przyjdzie do skutku, pośrednik zatrzymuje pieniądze, gdy zaś nie, najpunktualniej je zwraca, choć mógłby równie dobrze tego nie uczynić, bo według ustaw owa strona interesowana jest współwinną przekupstwa lub usiłowania jego i dlatego o pieniądze swoje drogą sądową się nie upomni. Pomiędzy tą branżą pośredników odróżnić należy dwa rodzaje. Oto są jedni, którzy istotnie posiadają wpływy i stosunki, i inni, którzy spekulują na łatwowiernych. Robią to w ten sposób, że starają się wywiedzieć nazwiska ludzi czy to mających jakiś zatarg z władzami skarbowemi, czy to chcących syna uwolnić z wojska itp. Zgłaszają się do takiego człowieka i zaofiarowują mu swoją pomoc za pewnem wynagrodzeniem. Interesowany składa pieniądze na trzecie ręce. Jeśli on uzyskał, czego chciał, mekler, który wcale ręki nie przyłożył do całej sprawy, zgłasza się po honoraryum, jeśli nie, rezygnuje z honoraryum i opowie jakąkolwiek bajkę, dlaczego pośrednictwo się nie udało.

Nie do wiary podobnem jest, jaką siecią stosunków i intryg ci ludzie otoczyć potrafili tych wszystkich, z których w podobne sposoby jakiś zysk wyciągnąć można. Zadłużony, choćby najuczciwszy urzędnik, stać się musi pod ich wpływem przekupnym, znajduje się bowiem w przymusowem położeniu. Jednego dnia zgłasza się do niego w jakiejś sprawie faktor z pewnemi żądaniami; urzędnik odmawia Faktor przychodzi za dwa, trzy dni. Tym razem nie ofiarowuje już jakiejś kwoty honoraryum, lecz prezentuje od któregoś ze swoich znajomych wzięty weksel owego urzędnika. Urzędnik ma teraz do wyboru: otrzymać ów weksel bez żadnej zapłaty gotówką, lub narazić się na nakaz płatniczy i egzekucyę. Bardzo niewielu ma tyle hartu moralnego, by wybrać drugą ewentualność.

Wszystkie nici tych intryg i sieci nawiązują się i schodzą w popołudniowych *rendez-vous* pośredników w owych strasznych kawiarniach. Tam ci urzędnicy, którzy już weszli we wstrętne stosunki, mają jakby akcye swoje, ulegające wahaniom kursów. Ci zaś, którzy mają *eine todte Hand*, tj. mimo zabiegów nie dali się jeszcze wplątać, są przedmiotem najchytrzejszych intryg. A owi ludzie są sprytni. Gdy chodzi o wplątanie kogoś, potrafią oni znaleść drogę do ofiary swojej przez trzeciego i czwartego człowieka tak, że zaatakowany nawet nie przeczuwa, co go czeka.

Co jednak doprowadza tym ludziom ich ofiary? Oto owo życie nocne po kawiarniach. Urzędnik, którego zaskoczą realne potrzeby życiowe, nie potrzebuje uciekać się do tego kredytu. Lecz człowiek, którego w tryby swoje złapie nocne hulaszcze życie, ten przepadł bezpowrotnie, niemal musi wpaść w ręce tych ludzi.

Kronika londyńska.

Z Londynu piszą nam:

Nie macie wyobrażenia, jakie wstrząśnienie wywołała w całej Anglii wiadomość, że lord Curzon, wicekról Indyi, podał się do dymisyi i że rząd dymisyę tę przyjął. Trzeba bowiem wiedzieć, jaki był powód owej dymisyi. Po skończeniu wojny boerskiej rząd zamianował naczelnym wodzem wojsk indyjskich lorda Kitschenera, bohatera owej wojny i tego wodza, który jeden dorósł do dzielności Boerów i ich pokonał. Kitchener, objąwszy dowództwo nad armią indyjską i zbadawszy ją dokładnie, przedłożył raport rządowi angielskiemu, że armia ta jest absolutnie nic nie warta, że w niej dyscyplina nie istnieje prawie żadna. że żołnierz nic nie umie, a oficer bardzo mało, że bitność i waleczność tego wojska jest całkiem marna i, że jeżeli kiedyś przyszłoby do walki nie z ludami dzikimi, ale z armią jakąś europejską, naprzykład rosyjską, to przegrana jest pewna i to przegrana o wiele gorsza i bardziej kompromitująca, aniżeli naprzykład Moskali w wojnie rosyjsko-japońskiej.

Raport Kitchenera wywołał w Londynie ogromne wrażenie i przerażenie zarazem. Zapytano więc go natychmiast o radę, co zrobić, aby zreorganizować tę armię i postawić ją na stopie odpowiedniej. Na to Kitchener przysłał drugi raport, w którym wykazał, że główną przyczyną dezorganizacyi armii indyjskiej jest to, że naczelne jej dowództwo podlega władzy wicekróla, a więc człowieka cywilnego i jego gabinetu, złożonego także z ludzi cywilnych. Lord Curzon, przesyłając ten drugi raport lorda Kitchenera do Londynu, dołączył doń swoją krytykę, w której wykazywał, że rady Kitchenera są niebezpieczne w kraju pozbawionym instytucyi parlamentarnej, w takich bowiem warunkach władza wojskowa może łatwo wyrodzić się w dyktaturę wojskową. Będzie się mówiło o dyscyplinie i o jej potrzebach, a zacznie się niszczyć wszystkie swobody obywatelskie. W Londynie jednak nie usłuchano głosu lorda Curzona, a przyznano racyę lordowi Kitchenerowi. W odpowiedzi na to lord Curzon podał się do dymisyi, a rząd ją przyjął. Następcą jego ma zostać lord Ninto, podobno bardzo dobry administrator. Tę zmianę osób na posterunku indyjskim uważają tu powszechnie jako fakt, iż Anglia nie lekceważy sobie nienawiści, którą w Rosyi wytworzyła do siebie z powodu wojny japońskiej.

Przedstawienia opery włoskiej w Covent-Garden, największym i najpiękniejszym tutejszym teatrze, skończyły się. Pożegnaliśmy tedy słynną artystkę Melbę o słabnącym wprawdzie głosie, ale doskonałej metodzie — i najpiewszego z tenorów, nieporównanego Caruso, żegnaliśmy jednocześnie sezon londyński. Jest to istotnie urzędowy jego koniec.

A był to sezon nadzwyczajnej świetności. Gdyby się wierzyć miało zgryźliwym ekonomistom, kraj jest zrujnowany finansowo, nie ochłonął jeszcze po klęskach boerskiej wojny, konsole stoją nie po 115, ale zaledwie po 90 proc., i ma być wiele innych symptomatów równie ujemnych. Ale nie widać tej rzekomej ruiny wśród tych 10.000 ludzi wyższych sfer, którzy stanowią śmietankę towarzystwa brytańskiego. Bawili się oni przez trzy miesiące sezonu nietylko ochoczo i nieustannie, ale ze zbytkiem, świadczącym o ich niewyczerpanych funduszach. Bale, na które same świeże kwiaty kosztowały tysiące funtów szterlingów, bankiety, jak ten wydany przez p. Kesslera, gdzie ugoszczenie każdego z 24 biesiadników kosztowało 2000 funtów szterlingów (50.000 koron), co dziwić nie będzie, gdy powiemy, że zamieniono dziedziniec hotelu na laguny weneckie i zasiadano do stołu na gondolach; żywe obrazy, w których klejnoty dam oszacowane były w przybliżeniu na 25 milionów funtów szterl. (750 milionów koron); pikniki, wyścigi, garden parties etc. szły jedne po drugich nieprzerwanym szeregiem. Arystokracya rodu starała się dorównać wielkim fortunom przemysłowców i bankierów, a staje się to dla niej możliwem, odkąd stare herby ozłaca amerykańskimi posagami.

Są, co twierdzą, że ten szum i hałas i owo dorobkiewiczowskie popisywanie się majątkiem, które cechuje obecne życie londyńskie, zawdzięczamy coraz ściślejszemu pokumaniu się z Amerykaninami i że dawniejszy typ angielskiego magnata znika, ustępując coraz bardziej miejsca przybyszowi ze Stanów Zjednoczonych. Nie dociekając o ile spostrzeżenie to jest sprawiedliwe, przyznać trzeba, że jest coraz więcej oznak amerykanizowania się Londynu. Do dodatnich należy ulepszenie i przyśpieszenie komunikacyi, gdyż Amerykanin nie toleruje przedpotopowych dróg żelaznych, dawnych tramwajów, statków parowych i omnibusów londyńskich i zaprowadza takie, które pozwalają urągać z czasu i przestrzeni. Ale jest i wiele ujemnych. Domy rodzinne, w których tradycyonalnie kwitło życie familijne, ów nieskalany home angielski, ustępują miejsca koczowniczemu pobytowi w hotelach. Jeżeli środek Londynu jest obecnie ruiną, jeżeli walą się gmachy, ulice i całe dzielnice, to dzieje się to przeważnie w zamiarze wybudowania mnóstwa wielkich karawanserajów, hotelów okazałych, zaspokajających najwyszukańsze potrzeby bogatych przybyszów z Ameryki.

Następstwa tego coraz większego amerykanizowania się towarzystwa angielskiego ukażą się całkowicie dopiero w przyszłości. W jednym dziale ukazały się już teraz, a to bez zaprzeczenia szkodliwie. Mamy na myśli teatry, przedsiębiorstwa teatralne, repertuar i cały nastrój, całą atmosferę teatralną.

Amerykańskie piśmiennictwo, lubo wydało wielkich poetów i powieściopisarzy, pierwszorzędnych historyków i essaystów, nie odznaczyło się w dziedzinie dramatycznej. Sensacyjny melodramat i błazeńska operetka, oto dwie formy, które charakteryzują twórczość teatralną amerykańską. Teatr traktowany jest przez Amerykaninów jako przedsiębiorstwo przemysłowe, a wartość literacka utworów scenicznych jest czynnikiem drugorzędnym: na pierwszem miejscu stoi czysty dochód, jaki teatralny przemysł daje kapitalistom. Wielkie syndykaty alias „trusty“ monopolizują sceny i wzgląd estetyczny, a tembardziej etyczny jest z nich całkowicie wykluczony.

Wyzyskując pobratymczą Anglię w wielu przemysłowych gałęziach, postanowili Amerykanie wyzyskać ją także i w dziedzinie teatralnej. Są już tego rodzaju symptomata. Grunt był przygotowany przez miejscowych przedsiębiorców, którzy wynajęli kilkanaście teatrów i przy jednolitej administracyi, oszczędzając kosztów, mając dobrane towarzystwo artystów dramatycznych i odpowiedni repertuar, wystawiali operetki, muzykalne komedye, farsy i melodramaty na jednej scenie londyńskiej po drugiej i obwozili je jednocześnie po prowincyach. Dwóch najlepiej znanych przedsiębiorców teatralnych tutejszych, pp. Jeny Edwards i Fryd. Curzon, robili finansowo świetne interesa. Zachęcili amerykańskich kolegów do próbowania swych sił na tem podajnem polu i naprzód p. Karol Frohman, a teraz już kilku innych stają w zawody. Nie może być różnicy zdania co do szkodliwości tej metody.

Ale nietylko w syndykatach teatralnych ujawnia się wpływ amerykański. Mieliśmy w tym sezonie parę sztuk przeniesionych tu żywcem ze Stanów Zjednoczonych i kilku amerykańskich artystów, którzy w wynajętych przez siebie teatrach popisywali się w sztukach napisanych dla uwydatnienia ich indywidualnego talentu; mieliśmy nakoniec amerykańskich pisarzy, którzy wystawili tutaj sztuki napisane dla londyńskiej publiczności. Przy najlepszej woli nie można powiedzieć, ażeby jakie nowe dodatnie siły twórcze przeniknęły z Ameryki do tutejszego teatralnego organizmu. „Dyktator“, farsa grana przez kilka miesięcy na scenie „Comedy“ przy pomocy hałaśliwej reklamy, musiała kosztować dyrekcyę nie małych nakładów, ale nie wywarła żadnego wrażenia. Piękna aktorka pani Maxima Elliot, w dość pospolitej komedyi obyczajowej „Her own way“ (Idź własną drogą), zdobyła sobie powodzenie nie tyle swą grą. jak swym osobistym powabem. Amerykański pisarz co sobie zdobył sławę libretem głośnej operetki „The Belle of New York“ wystąpił teraz w New Theatre z oryginalnym melodramatem „Leat Kleotna“. Osnową tej sztuki jest szereg kradzieży dokonywanych przez zawodowego złodzieja przy pomocy córki, którą w ostatnim obrazie znajdujemy odrodzoną przez dom poprawy rolniczy! Nie będzie zapewne potrzeba rozwodzić się nad wartością dramatu osnutego na takiej fabule.

Oto co nam dała Ameryka. Ten najazd miał ułatwiony sobie debiut przez brak wszelkich istotnie oryginalnych nowości tutejszych teatralnych hegemonów. Traf nieszczęśliwy zdarzył, że ani Tinero, ani H. A. Jones nie dali znaku życia; nowa sztuka p. Barrie o dziwacznym tytule: „Alice-sit by-the fire“ (Fotel Alicyi przy kominku) miała, jak wszystkie dawniejsze jego utwory, dużo humoru i oryginalnych pomysłów, ale brakło jej jądra. P. Alfred Sutro, którego sztuka „Walls of Jaricho“ tak trwale miało powodzenie, stał się niespodzianie autorem teatralnym, do drzwi którego różni dyrektorowie się dobijali. Dał co miał gotowego ale „Moneux on the Womer“ nie pozwala przypuszczać, żebyśmy mogli oczekiwać od niego arcydzieł.

I stało się, że na dwóch pierwszorzędnych scenach londyńskich, w teatrach „His Majestys“ i „St.. James“, największe powodzenie miały dwie sztuki francuskich dramaturgów. P. Tore wystawił „Les affaires sont les affaires“ Oktawjusza Mirbeau i sam grał rolę główną ojca spekulanta genialnie i z właściwą sobie oryginalnością. P. Jerzy Aleksander wystawił na swej scenie jedną z ostatnich komedyi Alfreda Capus, l'Adversaire. Dla wzbudzenia i podtrzymania interesu tej sztuki, na wskróś francuskiej i całej w półcieniach nie łatwych do zrozumienia przez gruboskórego Johna Bulla, wpadł na myśl nową powierzenia głównej roli kobiecej pełnej talentu aktorce paryskiej, pani Le Bargy, która mówi wcale dobrze po angielsku. Artystka miała powodzenie wielkie; sztuka sama — daleko mniejsze.

Jak się samo z siebie rozumie, mieliśmy także kilka towarzystw dramatycznych paryskich podczas sezonu, którego trwałemi instytucyami się one stały. Coquelin przemknął się szybko, jak meteor; p. Réjane grała swój repertuar nadgniłych sztuk, jak między innemi „l'Age d'aimer“. Publiczność londyńska podziwia jej grę, delikatnie wycieniowaną, chociaż nieraz nie rozumie dokładnie soli attyckiej, którą ją zaprawia. Nakoniec mieliśmy Sarę Bernhardt, uwielbianą tutaj i zbierającą hołdy i oklaski. W tym roku największą ciekawość budziła jej własna sztuka „Adrienne Lecouvreur“, której towarzystwo autorów zabroniło jej przedstawiać w Paryżu w jej własnym teatrze, a którą poddała z konieczności sądowi obcej publiczności.

Na tej samej osnowie, co znany dramat Scribego i Legouvego, Sara Bernhardt napisała swój własny. Rywalizacya pomiędzy aktorką a wielką damą stanowi tło utworu. Chociaż nie zrobiła księżnej de Bullion czystą maryonetką dla uwydatnienia aktorki, jak się tego obawiać było można, Sara Bernhardt zlała na tę ostatnią wszystkie promienne blaski. Jest to apoteoza sztuki dramatycznej w jej kapłance, apoteoza kochającej nieograniczoną, bezwzględną miłością, i umierającej w paroksyzmie ekstazy. Ze znajomością techniczną sceny, jaką posiada, i z tym wyjątkowym talentem, który lata wyziębić ani ostudzić jeszcze nie potrafiły, dramat ten musi wywołać interes i publiczność londyńska nie omieszkała uznać go jako arcydzieło. Nie dzieląc nawet tego zdania, można powiedzieć, że stoi on o wiele wyżej od utworu Scribego.

Wypadki w Królestwie.

Warszawa. W pobliżu Radomia wysadzono dynamitem w powietrze most kolejowy,

Warszawa. Ogłoszono tu wczoraj rozporządzenie general-gubernatora Maksymowicza, zaprowadzające w Warszawie i okolicy stan wojenny.

Jak się okazuje, starcie robotników z batalionem kolejowym, wysłanym do służby, było nieznaczne. Kilka osób tylko lekko zraniono.

* * *

Niesłychanie bolesnym dla każdego rozumnego Polaka jest fakt ten, że tak jaskrawo uwydatnia się teraz, po ogłoszeniu carskiego ukazu o Dumie państwowej, niedojrzałość polityczna robotniczych warstw Królestwa Polskiego, a znowu rozum polityczny u tych samych warstw w Rosyi. Moskale powiedzieli sobie: „zrobiony jest wyłom w murze, po za którym są wszelkie swobody; dzięki więc Bogu i bierzmy się do pracy, żeby ten wyłom rozszerzyć, abyśmy mogli wszyscy dostać się do krainy swobody“. Polscy zaś robotnicy powiadają: „Nie daliście nam powszechnego tajnego prawa głosowania, to nie chcemy nic, plwamy na ten wyłom i będziemy dalej robili awantury, strejkami niszczyli nasz rodzimy przemysł, a piersi nasze wystawiali na kule żołdaków“. Ogromnie to bolesny widok.

Z Warszawy piszą w tej mierze:

Nikt, jak się zdaje, nie żywił nadziei, aby ogłoszenie ukazu konstytucyjnego zdołało wpłynąć uspokajająco na wrzenie, które od tylu miesięcy wyniszcza teroryzowaną Warszawę wraz z całem Królestwem. W szerszych kołach społeczeństwa coraz silniej umacnia się świadomość, iż socyaliści nasi uważają zamęt i złączoną z nim ruinę gospodarki krajowej za jedyny swój cel. Przeświadczenie to umocniło się jeszcze bardziej teraz, gdy zobaczono różnicę między przyjęciem ukazu konstytucyjnego przez rewolucyonistów w Rosyi, a tutejszych. Spokój, jaki panuje w całej Rosyi, świadczy, iż rewolucyoniści tameczni liczą się z usposobieniem społeczeństwa, które przy całem niezadowoleniu z okrojonego parlamentaryzmu, widzi w Dumie początek ważnych przeobrażeń. Strejki i wrzenie w Królestwie są dowodem, iż agitacya tutejsza liczy na zgorączkowanie ogółu i spodziewa się znaleźć w niem pole doświadczalne do dalszych zaburzeń.

Bezcelowość ich leży jak na dłoni, a coraz silniejsza reakcya w społeczeństwie świadczy, że mimo chwilowe powodzenia terroru, szerokie warstwy nic z „rewolucyą“ nie mają wspólnego. Te warstwy widząc, że cała ta agitacya prowadzona zresztą chaotycznie z dnia na dzień, nie może odnieść żadnego skutku na polu zdobyczy politycznych, przychodzą do coraz silniejszego przeświadczenia, iż jedynym celem socyalistów jest zamęt sam w sobie. W ten sposób sytuacya wykazuje po stronie rewolucyonistów politykę rozpaczy, ślepe rzucanie się tam i sam, oderwane od społeczeństwa tak zupełnie, iż fakt ten na pierwszy rzut oka stanowi sygnaturę położenia. — Drugą sygnaturą jest chaos w dowództwie i organizacyi zaburzeń. Dość powiedzieć, że Polska Partya Socyalistyczna wydała dziś odezwę z wezwaniem do pracy, podczas gdy „Socyaldemokracya Królestwa Polskiego i Litwy“ rozkazuje dalsze bezrobocie. A nie jest to pierwszy przykład rozkładu, który może przecież z czasem przyczyni się do uratowania kraju od niszczącego zamętu.

* * *

Z Warszawy donoszą następujące szczegóły o aresztowaniu 27 socyalistów:

„W domu pod l. 23 przy ul. Mokotowskiej odbywało się posiedzenie członków partyi „Socyal-demokracyi Królestwa Polskiego i Litwy“. Osób zebrało się 27. Nagle do mieszkania tego weszło kilku policyantów pod wodzą komisarza cyrkułowego Zacharenki i w otoczeniu agentów policyjnych. Kiedy agent przekonał się, że uczestników zgromadzenia ująć nie potrafi, ponieważ bronili się zaciekle, wypadł na ulicę i sprowadził przechodzący przypadkowo patrol wojskowy. Otoczono tedy bramę domu; część zaś wojska, policyanci, łapacze i oficer dowodzący patrolem weszli na podwórze, by ująć uczestników zgromadzenia. Jeden z nich widząc, co się dzieje, wydostał się przez dymnik na dach kamienicy, potem przeszedł na drugą, trzecią i czwartą — ścigany przez łapaczy, którym się odstrzeliwał. W ten sposób dał 11 strzałów, wszystkie jednak chybiły.

Wkrótce z dachu dał się słyszeć jego głos:

— Nic z nimi nie poradzę! — huknął do zgromadzonego na ulicy tłumu uciekinier i w tejże chwili strzelił do siebie w usta.

Kula trafiła w szczękę i wywołała tylko ciężką ranę. Wkrótce policya dostała się na dach. Rannego ściągnięto w stanie nieprzytomnym. Dokonano natychmiast przy rannym rewizyi i znaleziono kilka paszportów zagranicznych, kilkanaście banknotów stumarkowych, wiele odezw i pieczęć. Człowiekiem tym jak się okazało niebawem, był p. Józef Montwiłł, podobno stale zamieszkały w Londynie, członek znanej rodziny wileńskiej.

Gdy załatwiono się z Montwiłłem wzięto się do aresztowania pozostałych, których wszystkich ujęto. W liczbie 27 uwięzionych jest 6 kobiet“.

Tyle słów listu z Warszawy. Wydaje się nam to jednak nieprawdopodobnem, żeby ten młody człowiek naprawdę był Montwiłłem. Raczej przypuszczać należy, że używał on tylko paszportu wydanego dla Montwiłła.

Wojna rosyjsko-japońska.

Petersburg. Telegram jenerała Liniewicza, wysłany dnia 23-go b. m. z Hajczungszan, donosi: Oddział naszego wojska posunął się ku dolinie Czingszau i obsadził wieś Lagusiady, poczem konnica posunęła się w kierunku zachodnim. Drugi oddział wyparł Japończyków z miejscowości Siniadze, a trzeci ze stanowiska w Mablunszu. Przeciw stanowisku Japończyków w Julanszy wysłałem trzy kolumny wojska celem obejścia nieprzyjaciela. Wojsko wyparło Japończyków z ich stanowisk; cofnęli się ku Sientin. Kontratak nieprzyjaciela odparliśmy.

Z Korei donoszą 21 bm., że Japończycy wykonali atak na miejscowość Kiaugosuga, ale zostali odparci,

Nowy Jork. Prezydent Roosevelt otrzymał od ambasadora amerykańskiego w Petersburgu depeszę, złożoną z 500 słów, w której ambasador zdaje sprawę ze swej trzygodzinnej audyencyi u cara, Pomimo tego, że treść depeszy nie jest znaną, wiadomem jest, iż Roosevelt ma nadzieję, że pokój będzie zawarty.

Otwarcie „Lwowskiego instytutu muzycznego“.

Polaków nazwał raz ktoś „narodem artystów“.

I rzeczywiście: kilka ostatnich dziesiątków lat przekonały nas naocznie, że Sztuka ma u nas, jeśli nie lepszą, to napewno nie gorszą od zagranicy dla siebie glebę.

Widzimy to przedewszystkiem w naszej poezyi, widzimy we wspaniale rozwijających się: malarstwie i rzeźbie, widzieć także musimy i w muzyce, choć ciągle jeszcze tak po macoszemu u nas traktowanej. Oto Paderewski, oto Michałowski, Barcewicz, Śliwiński, Hofman i t. p., słowem cała plejada mistrzów nad mistrzami, zbierających laury w kraju i na obczyźnie.

Niestety — wszyscy ci nasi wielcy i sławni pobierali naukę, która im dała sławę, a niekiedy majątek — stale za granicą. I gdy fakt ten sobie uprzytomnimy, musi nas równocześnie uderzyć i zaboleć myśl, że jednak setki i tysiące marnieć musi talentów z powodu braku zasobów na kształcenie się i pobyt za granicą.

Stypendyów i zapomóg ubogi nasz kraj nie jest w stanie dostarczyć odpowiednio do ich zapotrzebowania, a te, które daje, nie są w żadnym stosunku do najskromniejszych nawet wymogów i potrzeb kształcących się. Są wprawdzie we Lwowie i Krakowie konserwatorya, atoli na siedm milionów mieszkańców Galicyi dwie publiczne szkoły muzyczne, — to chyba za mało!

I oto z powyższych motywów, oraz ze szczerej i gorącej miłości ku muzyce, wyłoniła się u p. Anny Niementowskiej myśl zapobieżenia takiemu brakowi i założenia szkoły wokalno-muzycznej, o specyalnej metodzie i zakresie działalności. Zadaniem jej jest dopomódz ogółowi, a w szczególności tym właśnie jednostkom, w których duszy płonie święte pragnienie oddania się artyzmowi prawdziwemu — do zadośćuczynienia tak szlachetnym porywom.

A stać się to mogło li tylko przez dobrze zorganizowaną, dzisiejszym nowoczesnym wymogom odpowiadającą i w poważne pierwszorzędne siły nauczycielskie zaopatrzoną szkołę muzyczną. Usiłowania te oceniło nawet należycie namiestnictwo, które przy udzielaniu koncesyi na tę nową szkołę, wyróżniło ją zaszczytną nazwą: „Lwowski Instytut Muzyczny“.

Fortepian, skrzypce i śpiew, trzy najbardziej rozpowszechnione gałęzie sztuki muzycznej, a obok tychże śpiew choralny i gruntownie traktowana teorya muzyki, we wszystkich swych działach znajdą w gronie profesorów „Lwowskiego Instytutu Muzycznego“ przedstawicieli wybranych z pośród najwybitniejszych sił naszych.

Tendencyjną podwaliną tej wzorowej szkoły — jest wprowadzenie po raz pierwszy w Galicyi, ogólnie dziś nader cenionej w wszechświecie metody prof. Leszetyckiego, po zdobycie której, musiano dotychczas udawać się za granicę.

Jako najznakomitsi i nieprześcignieni przedstawiciele tej właśnie metody, zostali zaangażowani p. Ignacy Friedman i p. Natalia Loewenhofówna z Wiednia, asystenci prof. Leszetyckiego.

Samo za siebie mówi nazwisko p. Friedmana, dawniej ulubionego ucznia, a dziś pierwszego asystenta prof. Leszetyckiego, znanego i głośnego z występów w kraju i zagranicą. P. Friedman obejmuje ogólne artystyczne kierownictwo w zakresie swojej metody.

Całym zaś niejako motorem działu fortepianowego w nowo-utworzonym Instytucie, jest p. N. Loewenhofówna, najznakomitsza ongiś uczennica Michałowskiego, talent niepospolity, potężny i największy ze wszystkich, jakimi dotychczas szkoła tego „Mistrza-Szopenisty“ pochlubić się mogła.

Najnowszymi czasy, studyując u profesora Leszetyckiego, wyróżniała się ze wszystkich, jako niezrównana interpretatorka tej nowej jego metody.

Dziś w sferach muzycznych dość jest wymienić nazwisko tej miary artystki, także z występów estradowych znanej i uznanej przez poważną, zwłaszcza zagraniczną krytykę, przepowiadającą jej równocześnie sławę pierwszorzędnych znakomitości, a to z uwagi na wielkie bogactwa w zasobie indywidualności artystycznej, temperament, tudzież ze względu na przewyborną technikę.

Średni kurs obejmuje sama p. Anna Niementowska, świetnie z metodą prof. Leszetyckiego obeznana, a już od dłuższego czasu z niezmiernem zamiłowaniem zawodowi pedagogicznemu się poświęcająca. Początkowo kształciła się w szkole Mikulego, a następnie we Wiedniu. Jako ogólne uznanie za swą dodatnią działalność nauczycielską, otrzymywała już dość często pochwały w postaci artykułów całej prasy tutejszej, a szczególnie po dorocznych popisach jej uczni i uczenic.

Niższe kursa fortepianu powierzono do prowadzenia rutynowanym i wytrawnym siłom, odpowiednio do zespołu całego grona profesorów Instytutu dobranym.

Dalej na szczególne wyróżnienie zasługuje także dział skrzypcowy, objęty przez cenionego wirtuoza i koncermistrza p. Juliana Pulikowskiego, który wyszedłszy pierwotnie z konserwatoryum lwowskiego studyował następnie u prof. Joachima w Berlinie i u prof. Szewczika w Pradze.

Będąc przez dwa lata czynnym jako nauczyciel jednej z tamtejszych szkół muzycznych, zdołał artysta ten nabyć wysoką rutynę pedagogiczną i wyrobić sobie metodę naukową, łączącą głębokość stylu Joachima, z dążnościami wirtuozowskiemi znakomitej pod względem technicznym szkoły Szewczika.

Nauka śpiewu została poruczoną na rok 1905—6 pannie Zofii Kozłowskiej, znanej zaszczytnie tutejszej nauczycielce.

Lekcye teoryi, tak ważne w nowoczesnem wykształceniu muzycznem, pobierać będą uczniowie i uczenice Instytutu u jednego z najwybitniejszych profesorów lwowskich. Gdy dodamy na końcu, że umiarkowane opłaty szkolne umożliwiają naukę i niezamożnym nawet uczniom, to chyba Instytut ten ma uzasadnione prawo liczyć na poparcie ogółu i do niego śmiało zaapelować!

Otwarcie uroczyste „Lwowskiego Instytutu Muzycznego“ przy współudziale zaproszonego duchowieństwa, prasy, grona profesorów i innych wybitnych osobistości — nastąpi w pierwszych dniach września b. r. przy ulicy Kilińskiego l. 1 — we Lwowie.

KRONIKA.

Lwów 25 sierpnia.

Dlaczego Rosya tak stanowczo protestuje przeciw płaceniu kosztów wojennych? Na to pytanie odpowiada, jak nam donoszą telegraficznie z Paryża, p. Aleksander Ulard w dzienniku *Temps*, jak następuje:

„Rosya opiera się energicznie zapłaceniu kosztów wojennych nie dlatego, żeby przekładała wojnę nad pokój, ale dlatego, że Witte nie zdołał wydostać pieniędzy ani w Paryżu, ani w Stanach Zjednoczonych. Żydzi amerykańscy przyrzekli mu, że dadzą pieniądze, jeżeli car nada Rosyi konstytucyę i jeżeli konstytucyjne zgromadzenie narodowe zatwierdzi tę pożyczkę. Car nie dał konstytucyi, a utworzył tylko Dumę postulatową. więc żydzi amerykańscy odpowiedzieli tymi dniami Wittemu, że to ich nie zadowolniło i że pieniędzy nie dadzą. Rosya wprawdzie jeszcze broni się energicznie przeciw odstąpieniu Sachalinu, ale jest to jej wybieg dyplomatyczny, gdyż sądziła, że w ostatniej chwili wytarguje koszta wojenne, odstępując Japonii Sachalin. Ale Japonia na taki układ przystać nie może z bardzo prostego powodu. Oto ostatnią pożyczkę zaciągnęła ona w Anglii i w Ameryce na podstawie chwilowego zastawu swych dochodów cłowych, a w nadziei, że spłaci ją z odszkodowania wojennego, które otrzyma od Rosyi. Gdyby teraz odszkodowania nie otrzymała, to zastaw tymczasowy zmieniłby się w stały. Jakżeby wyglądało mocarstwo, które wojnę wygrało, w rzędzie pierwszorzędnych chce stanąć, a ma jak drobne republiki amerykańskie cła swoje w zastawie. Z tego też powodu — dodaje p. Ulard — nie wierzę ani w pokój ani w powodzenie medyacyjnych usiłowań Roosevelta“.

Sprawa podhajecka. Piszą nam z Podhajec: Przed $1^1/_2$ rokiem umarł w Podhajcach tamtejszy ruski proboszcz X. Stanisław Nowosad. Pochodzenia był polskiego — ale majątek zapisał „Proświcie“ na ruskie narodowe cele. Majątek wynosił gotówką przeszło 100 tysięcy koron. Zaraz po jego śmierci rozpisał lwowski ruski konsystorz konkurs na to beneficyum — jedno z najlepszych w Galicyi. Było dużo kandydatów. Obecnie, t. j. po roku, konsystorz ponownie rozpisuje konkurs z przyczyn nikomu niewiadomych i bardzo rychło tę sprawę załatwia w ten sposób, że kolatorowi przedstawia w liście tylko trzech kandydatów, mimo, że się bardzo dużo kompetentów zgłosiło. Kolator zaprotestował przeciw temu zarządzeniu konsystorskiemu i sprawa zapewne pójdzie do Rzymu i do trybunału administracyjnego; kolator oparł się na najwyższem ces. rozporządzeniu — wydanem na prośbę Sejmu galicyjskiego w 1865 r., znoszącem terno obowiązujące dawniej przy prywatnym patronacie. Sprawa ta jest zajmującą dla prawników, osobliwie kanonistów; ale też i dla obywatelstwa polskiego ma doniosłe i zasadnicze znaczenie ze względu na tytuł patronatu i kolatorstwa. Po pierwszym konkursie konsystorz listy kandydatów ani kolatorowi nie posłał, ani też nie ogłosił w dzienniku konsystorskim, a po roku rozpisuje ponowny konkurs. Na tej zwłoce i na sporze wyjdzie najlepiej administrator wakującego beneficyum tak bogatego. Spodziewać się należy, że ze sfer duchownych (konsystorskich) otrzymamy stosowne i jasne wytłumaczenie tej dziwnej sprawy.

Tramwaj elektryczny do Kulparkowa. Właściciele większych realności, położonych na Kastelówce, wzdłuż projektowanej trasy nowej linii tramwaju elektrycznego do Kulparkowa, mają złożyć w ciągu bieżącego tygodnia przypadające na nich kwoty na fundusz gwarancyjny, z tem jednak zastrzeżeniem, by odpowiednie kwoty na ten fundusz złożyli także właściciele mniejszych realności, położonych w tej okolicy. Na wypadek, gdyby ci ostatni tego nie uczynili do dnia 30 września r. b, wniosą równocześnie składający fundusz gwarancyjny prośbę do Rady miejskiej o anulowanie jej uchwały co do poprowadzenia linii tramwaju elektrycznego do Kulparkowa.

Ślub. Z Przemyśla donoszą, że zaraz po manewrach ma się tam odbyć ślub córki komendanta korpusu, generała Horsetzkiego, z porucznikiem Tanto z 8-ego pułku dragonów tam załogujących. Porucznik Tanto jest synem znanego milionera naftowego Dawida Tanto.

Galicyjskie Towarzystwo leśne odbyło teraz w Żywcu swoje doroczne walne zgromadzenie. W obradach wzięło udział przeszło 100 uczestni-

Alfons dlatego tylko jedzie do Londynu, aby się oświadczyć o rękę księżniczki Connaught, wnuczki króla Edwarda. Żeby więc wiedzieć, czy królestwo mają się zgodzić na ten związek, wybrał dwór angielski dwóch bardzo dystyngowanych i bardzo rozumnych lekarzy, z których jeden był psychiatrą, a drugi lekarzem chorób płucnych i przydzielił ich do angielskiej świty króla hiszpańskiego.

Ci dwaj lekarze obserwowali całe zachowanie się króla, widzieli go w kąpieli i bardzo zręcznie zbadali jego organizm, poczem zdali królowi sprawozdanie, że według ich najgłębszego przekonania jest on obciążony dziedzicznie nietylko suchotami, ale i pewną psychozą. Na skutek tego dwór angielski dał dygnitarzom króla Alfonsa do zrozumienia, że powinni mu radzić, aby się nie oświadczył.

Temperatura dnia 23 sierpnia o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +15, we Lwowie +13, w Tarnopolu +19, w Czerniowcach +15, w Wiedniu +16, w Salcburgu +19, w Gracu +18, w Pradze +17, w Tryeście +23, w Abbazyi +22, w Raguzie +27, w Budapeszcie +18, w Berlinie +18, w Hamburgu +16, w Monachium +17, w Zurychu +16, w Genewie +19, w Lugano +19, w Anglii +11, w Paryżu +13, w Biarritz +17, w Nizzy +23, w północnych Włoszech +21, we Florencyi +21, w Rzymie +20, w Neapolu +23, w Palermo +24, w Madrycie +20, w Sztokholmie +14, w Petersburgu +13, w Wilnie +11, w Warszawie +12, w Moskwie +13, w Kijowie +11, w Odessie +14, w Serajewie +16, w Belgradzie +18, w Bukareszcie +20, w Sofii +17, w Konstantynopolu +23, w Atenach +27. (Temperatura według Celsiusza).

Zmarli. W Bohorodczanach, Emilia Bełdowska, żona starszego komisarza powiatowego.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 15 R. w poł. + 19 R. Bar. 763. Spada. Rano pochmurno i deszcz, popołudniu wypogadza się.

Dobry członek.

— Zakładam ligę przeciwko używaniu słów obcych; chcesz pan do tego należeć?

— Owszem...

— Więc mogę pana zapisać?

— *All right!*

Po bankiersku.

— Pan, pan pozwalasz sobie całować moją córkę! Pan, co masz zaledwie 50 guldenów miesięcznie i zaledwie dwa lata służby! Na to nie pozwoliłby sobie nawet prokurent, mój panie, który bierze 500 guldenów miesięcznie i służy u mnie trzydzieści lat!..

Szczytem niegrzeczności jest wejść podczas ulewy do sklepu parasolniczego i tam przeczekać, aż deszcz ustanie.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. W sobotę „Sztygar," operetka Zellera. — W niedzielę „Krakowiacy i Górale" Jana Nep. Kamińskiego. — W poniedziałek „Sztygar". — We wtorek po raz pierwszy „Moloch" w 4 epizodach z życia, napisał Wład. Zaleski.

Colosseum w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 16 do 31 sierpnia zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 sierpnia.

(Z). Wobec aż nadto widocznych usiłowań wywołania wielkiej haussy w walorach żelaznych na tle ogłoszonego ostatnimi czasy bilansu kartelu żelaznego, konstatującego, że ilość żelaza, sprzedanego w roku ubiegłym przez przedsiębiorstwa kartelowe, była o 12% wyższa, niż w roku poprzednim, i że wobec tego posiadacze akcyi tych przedsiębiorstw liczyć mogą na znacznie wyższe dywidendy, bo ceny wszystkich gatunków żelaza są dziś znacznie wyższe, niż przed rokiem, zatem ten wzrost odbytu żelaza ma podwójną wartość, — otóż wobec tych manewrów, mających na celu zachęcić publiczność do spekulacyi w papierach żelaznych, podnoszą się z poważnej strony głosy przestrogi. Mianowicie wykazują niektórzy uczciwi a nieinteresowani w tej całej spekulacyi fachowcy, że wzrost odbytu przedsiębiorstw kartelowych o 12% ma swe źródło wyłącznie w tem, że w ubiegłym właśnie roku huty żelazne musiały dostarczyć ogromnych ilości szyn dla nowych kolei alpejskich — taka gratka nie powtarza się jednak co roku, to też łatwo może się sparzyć ten, kto pójdzie na lep syrenich głosów prasy, stojącej na usługach kartelu żelaznego.

Jako jeden z motywów haussy walorów żelaznych podają także szalony wzrost zapotrzebowania żelaza w Ameryce. Zwłaszcza prasa berlińska podtrzymuje tę haussę i w doniesieniach swych z Ameryki podaje iście fantastyczne szczegóły. Oto np. donoszą niektóre pisma berlińskie, że w 27 większych miastach Stanów Zjednoczonych budują w tym roku 57.539 nowych domów kosztem 262,353.000 dolarów, ponieważ zaś żelazo jest tam głównym materyałem, używanym do budowli, przeto sam przez się nasuwa się wniosek, jak kolosalne sumy zarobią trusty żelazne.

Z Sofii donoszą, że rząd bułgarski, który oprócz monopolu sprzedaży zapałek i bibułek cygaretowych zaprowadza także monopol solny, ogłasza właśnie rozprawę ofertową na dostawę 110 milionów kilogramów soli.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Budapeszt. Dzienniki donoszą, iż znów dwaj posłowie wystąpili z partyi liberalnej.

Wiedeń. Biuro korespondencyjne zaprzecza na podstawie zasięgniętych informacyj, podanej przez dzienniki wiadomości, jakoby br. Banffy konferował z ministrem wojny generałem Pitreichem i szefem sztabu generalnego br. Beckiem. (Wiadomość o tej konferencyi rozpuściły organa koalicyi węgierskiej, chcąc wytworzyć w publiczności przekonanie, że Korona jest już na drodze ustępstw w rzeczach wojskowych, skoro dwaj najgłówniejsi na tem polu dygnitarze konferują nawet z człowiekiem tak niepewnym, jak Banffy i tak znienawidzonym u dworu. Otóż wiadomość ta wydała się nam tak nieprawdopodobną, żeśmy jej nie uwzględnili. Dzisiaj okazuje się, że była kłamstwem. *Przyp. Red.*).

Paryż. Wczoraj przedpołudniem odbyła się rada gabinetowa, na której Rouvier zdał sprawę o stanie pertraktacyj w sprawie Marokka i doniósł, że rząd niemiecki w najbliższym czasie wręczy odpowiedź na notę francuską.

Kwidzyn (w Prusach Zachodnich, nad brzegiem Wisły). Wśród flisaków rosyjskich stwierdzono w ostatnich dniach dwa wypadki cholery, z tych jeden śmiertelny. Pod przewodnictwem komisarza rządowego odbyła się konferencya lekarska, na której postanowiono poczynić zarządzenia celem zapobieżenia rozszerzaniu się tej epidemii.

Londyn. Do *Timesa* donoszą z Tokio, że mikado przyjął zaproszenie króla Edwarda i odwiedzi Londyn, a następnie zwiedzi najważniejsze miasta kontynentu. Podróż mikada ma być podjętą zaraz po zawarciu pokoju.

(Depesze popołudniowe)

Sztokholm. Na onegdajszej radzie gabinetowej minister sprawiedliwości zdał sprawę o ostatnich uchwałach norweskiego storthingu i zaproponował, aby rząd domagał się od rady państwa upoważnienia do rozpoczęcia rokowań z rządem norweskim. Następca tronu, jako regent, zgodził się na tę propozycyę.

Budapeszt. *Pester Lloyd* stwierdza, że wszelkie doniesienia o rzekomej wielkiej liczbie projektów ustaw, które bar. Fejervary pragnie przedłożyć dnia 15 września sejmowi węgierskiemu, są najzupełniej zmyślone.

Petersburg. W mieście Bałaszowie (w gub. saratowskiej) zebrała się dnia 3 bm. na naradę pewna liczba okręgowych lekarzy, którzy przed niedawnym czasem demonstracyjnie zaprzestali pracy. Tłum robotników i chłopów wystąpił wrogo przeciw tym lekarzom. Powstały rozruchy, które policya zgniotła, a sprawców wykroczeń odstawiła do sądu. *Prawitelist. Wiestnik* donosi, że na dotyczącem sprawozdaniu Trepowa napisał car Mikołaj następującą uwagę: „Rewolucyjne objawy nie mogą być nadal cierpiane, ale zarazem nie można pozwalać na samowolne występowanie tłumu".

Konstantynopol. Śledztwo i aresztowania w Smyrnie trwają dalej, ponieważ nie odnaleziono jeszcze 35 bomb, o których istnieniu zeznały uwięzione osoby.

Spiskowców poszukują władze także w rządowym budynku, który był miejscem, przeznaczonem do przechowywania bomb. W ormiańskich sklepach znaleziono mundury żołnierskie i sutanny, w które mieli się przebierać uczestnicy zapowiedzianych zamachów. Ze skonfiskowanej korespondencyi wynika, że ponieważ nie ukończono jeszcze przygotowań, zamachy ułożone na 1 września, nastąpią dopiero 10 września.

Londyn. Do *Morning Post* donoszą z Waszyngtonu: Na podstawie doświadczeń, poczynionych w morskich bitwach podczas japońsko-rosyjskiej wojny, zarządził amerykański departament marynarki rozmaite zmiany w wojennej flocie. Tak n. p. mają być usunięte wszystkie rury torpedowe ponad linią wodną, z wyjątkiem jednej na każdym okręcie, przeznaczonej do ćwiczeń.

Wiedeń. *Fremdenblatt* donosi: Prezydent włoskiej izby posłów w wygłoszonym na drugiem posiedzeniu ostatniej sesyi nekrologu ku pamięci deputowanego Socci'ego użył zwrotu, że Socci walczył wraz z Garibaldim w r. 1866 „w górach naszego Trydentu" (Trentino). Austro-węgierski rząd zażądał od rządu włoskiego w przyjazny sposób wyjaśnień, wskutek czego włoski minister spraw zagranicznych, przesłuchał prezydenta izby, który zaprzeczył, aby używając tego zwrotu miał jakie intencye irredentystyczne i dał wyraz ubolewaniu z powodu wrażenia, jakie ta enuncyacya wywarła w Austro-Węgrzech. W imieniu włoskiego rządu wyraził następnie włoski minister spraw zagranicznych ubolewanie wobec austro-węgierskiego ambasadora z powodu tego nieporozumienia.

Wojna.

Londyn. Do *Morning Post* donoszą z Portsmouth: Japonia domaga się 120 milionów funtów szterlingów (3 miliardy koron), jako odszkodowanie. Rosya gotowa jest zapłacić 50 milionów funtów (1 miliard 250 milionów kor.).

Times dowiaduje się z dobrego japońskiego źródła, że ostatnie propozycye Japonii, odnoszące się do Sachalinu i kosztów wojny, mają być uważane za *ultimatum*.

Portsmouth. Japoński pełnomocnik Takahira miał oświadczyć, że „teraz wszystko już skończone, ostatnie bowiem starania prezydenta Roosevelta nie wydały żadnego rezultatu".

Zaś Witte oświadczył jednemu z dziennikarzy, „że w Petersburgu wzmaga się szowinizm coraz bardziej; bynajmniej nie z Japończykami prowadzone są teraz rokowania, lecz tylko z prezydentem Rooseveltem".

Portsmouth. Rosyjscy delegaci wysłali dziś w drodze telegraficznej do Petersburga obszerny komunikat, który im dziś rano doręczył sekretarz amerykańskiego rządu Peirce. Komunikat ten zawiera niewątpliwie treść ostatnich propozycyj prezydenta Roosevelta.

Londyn. Do *Daily Telegraph* donoszą z Tokio: Parowiec „Kinjomaru", wiozący wojsko, które z pola wojny wracało do Japonii, zderzył się w nocy na 24 bm., opuściwszy wieczorem port Moji, z angielskim parowcem „Baralong" w pobliżu Gimojuna i zatonął w przeciągu trzech minut. Major i 126 japońskich żołnierzy utonęło. Angielski parowiec „Goldmouth" wyratował 9 osób z załogi „Kinjomaru" i przewiózł je do Moji.

Przyjechali dnia 25 sierpnia. M. br. Bławowski z Nowosiółki. W. ... K. Wysocki z Ostobuża. P. Orzelska z Rymanowa. ... Radzca T. Stefanel ... z Dzikowa st. J. Wolgner ... z Rosyi. M. Fliegl z ... jówki. W. Barański z Łukawicy.

Przyjechali dnia 25 sierpnia. ... z Drohobycza. J. Krzysztofowicz ... Krowicz i K. Siechulski ... Bryniec. W. Korzenni ... ze Złoczowa. J. Biliński ... kowski i T. Mytyk ... H. Grünberg i M. Eisenberger ... trażycki z Petersburga. ... wa. K. Lipiński z Kamienicy. D. Kozicki z Seposzyna. J. Łukomski z Landsberga. P. Schürer z Lipska. M. Zimermann z Podwołoczysk. L. Herschlowitz z Berlina.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 26 sierpnia.

Marki 117·32, renta majowa 100·60, węgierska renta koronowa 96·55, akcye: austr. zakł. kredyt. 669.00, węg. zakł. kred. 783·00, anglobanku 319.50, unionbanku 553·00, bankvereinu 567.50, länderbanku 458·25, kolei państw. 675·50, lombardy 96·00, akcye kolei Elbethal 449.00, fabryki broni 555·00, tytoniowe 381·50, alpiny 539·00, Rima Muranyi 553·50, prag. Tow. żel. 2752.00, losy tureckie 142·25, ruble 253.25. Usposobienie: spokojne.

Lwów 25 sierpnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 580.— do 586.—. Banku hipotecznego po 200 złr. 568·00 do 578.00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron — 820 Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. do 260·—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·50 do 000.00, 4 i pół proc. los w 50 lat 101.80 do 102·00, 4 proc. los w 60 lat 99·00 do 99·70 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.50 do 102.20. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 99·80 do 100.50 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 99.80 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·80 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 99·80 do 100·50

Obligacye za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99.80— 100·50 Bukowińskiego fund. prop. 5 proc. 102.80 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.50 do 000.00 Komun. Banku kraj. 4 i pół proc. (3iej emisyi) 101.50 102.20. Komun. Banku kraj. (4ej em.) 99.50 do 100.20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 99.50 do 100.20. Pożyczki kraj. z roku 1878 4½ proc. —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.50—100.20 miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 98·40 do 00.00 4% po 200 koron 101.10 do 101.80.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20*. 1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.15*, 8.35, 6.35*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.48, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.

14)

Prawdziwa miłość.

(Z francuskiego.)

(Ciąg dalszy.)

W gruncie rzeczy dziwiła się, iż Sénac nie występował z taką propozycyą, narażając się bodaj na odmowę.

Coraz mniej rozumiała postępowanie tego dziwaka.

Już po dniach kilku ta podróż, nadzieją której cieszyła się bezwiednie, zdawała jej się przykrą jakąś mistyfikacyą.

Widziała wprawdzie, jak niemal za każdą przebytą milą siły powracały jej bratu, nie miała jednak prawa przypisywać sobie tych świetnych skutków. Cała zasługa spadała na Alberta, gdyby bowiem nie jego namowy, Krzysztof nie opuściłby Kairu.

Uszczęśliwiony ze swego stanu zdrowia, suchotnik nie troszczył się o nic poza tem. Ilekroć mógł oznajmić przy śniadaniu, że dobrze spał w nocy lub gdy czuł się przy apetycie, mało go obchodziły mumie psów z Cynopolis, freski w Beni-Hasanie, lub ruiny rzymskie w Antinoe. Nie martwił się już nawet powołaniem religijnem siostry. W obecnej chwili dobry jego humor zależał jedynie od szybkości, z jaką posuwała się „Nephtys".

Gdy niepomyślny kierunek wiatru zmuszał ją do zarzucania kotwicy, Krzysztof spoglądał co parę minut na barometr z niecierpliwością kapitana okrętu, którego cała karyera zależy od dostarczenia na czas ładunku.

W dnie pogodne Quilliane nie schodził z pokładu, dla zachęty rzucając majtkom garście parasów, niekiedy nawet głos jego łączył się z przeciągłemi ich śpiewy, w których imię Allaha wracało ustawicznie.

Teresa zaczynała trwożyć się i niepokoić tymi początkami apostazyi. A przytem Albert ją drażnił, jakkolwiek nic mu zarzucić nie mogła, oprócz chyba, iż był dla niej niezrozumiałym. Nie mogąc określić, czy miał prawo do jej przyjaźni, czy też zasługiwał na jej nieufność, myślała o nim ustawicznie.

Podróż ta zaczynała już ją nużyć swą monotonią, mistress Crowe zauważyła jednak, że niepokój i niezadowolenie jej zmniejszały się, skoro tylko Sénac powracał ze swych wycieczek.

Teresa nie korzystała wprawdzie z jego obecności, lecz czuła, że jest przy niej, że nie naraża się na niebezpieczeństwo. Myśl ta zdawała się ją uspakajać.

Od czasu do czasu podróżni nasi wymijali inne *dehabieh* z flagą angielską, amerykańską, ani razu jednak nie spotkali fregaty francuskiej.

Pewnego wieczora jakiś yacht mignął przed ich oczyma, lecz z powodu ciemnej nocy niepodobna było rozpoznać jego narodowości. Od czasu do czasu przepływały olbrzymie tratwy z ładunkiem daktylów, to znowu łodzie, przewożące rodziny fellahów. Tłoczyły się na nich kobiety w niebieskich szatach z tatuowanemi brodami, nagie dzieci, osły, wielbłądy, bawoły; w powietrzu brzmiały nieustanne „Elessah", zawodzone rytmicznie przez wioślarzy. A z dniem każdym upał się wzmagał, dosięgając już temperatury gorących dni letnich we Francyi.

To też najmilsze chwile upływały pannie de Quilliane wieczorami na tarasie wśród kontemplacyi spokojnej, przezroczystej rzeki i roziskrzonego, gwiaździstego nieba.

Na pokładzie majtkowie wykonywali tańce nubijskie przy dźwięku glinianego fletu, *derbuki*. Do uszu Teresy dolatywały te wesołe odgłosy, ilekroć jednak przechyliła się nad balustradą tarasu, widziała siedzącą na schodach postać nieruchomą z cybuchem w ustach. Sénac w zadumie swej nie spostrzegał widocznie jej obecności.

Pewnego wieczora, gdy tańce i muzyka przechodziły zwykły diapazon, panna de Quilliane, zaniepokojona tem, nachyliła się nad poręczą.

— Ja się boję tych murzynów — szepnęła do swego towarzysza. — Zły duch widocznie ich opętał. Nie będę mogła spać w nocy.

Albert podniósł się i przez chwilę przypatrywał się tej dziewiczej postaci, oświetlonej księżycowymi promieniami. Potem skłonił z lekka głowę i odparł:

— Możesz być pani spokojna. W razie potrzeby odegram wobec tych ludzi rolę świętego Michała.

— Brakuje panu do tego dwóch rzeczy, które on posiadał: lancy i skrzydeł — mówiła z uśmiechem.

— Choć jestem tylko człowiekiem, a nie aniołem — rzekł — odpowiadam za życie pani własnem. Śpij pani spokojnie.

Zeszła w zamyśleniu po schodach, wiodących do „haremu" i ukląkłszy przed obrazem Matki Najświętszej, zamiast się modlić, rozmyślała, że jednak słodko jest wiedzieć, iż jej strzeże człowiek silny i pełen poświęcenia.

Sénac siedział na czatach, dopóki Nubijczycy nie ułożyli się do spoczynku na pokładzie.

Spoglądał na lazur nieba i sam nie rozumiał dlaczego wiersze z Ariosta, których uczył się będąc chłopięciem, z myśli jego płoszyły przykre wspomnienia.

„Kobiety wierne i czyste, kobiety rozumne i odważne były niegdyś w Grecyi i starożytnym Romie: istnieją one i dzisiaj... za naszych czasów" — opiewał wieszcz włoski.

Płynąc na jednym statku po wodach Nilu, Teresa i Albert oglądali razem wiele wspaniałych widoków, lecz nie utkwiło w ich pamięci, jak ta noc gwiaździsta, odgłosy dzikich śpiewów i to przymierze, zawarte pomiędzy słabością i siłą, pomiędzy ufnością i poświęceniem.

W dwa dni potem *dehabiah* zatrzymała się przy Keneh. Choć Luksor leżał stąd o mil dwadzieścia zaledwie, choć wiatr był pomyślnym, Quilliane rozkazał zwinąć żagle i oświadczył, iż wszyscy wysiądą na ląd stały. Podróżni nasi chętnie zastosowali się do tego rozporządzenia.

Teresa cieszyła się już z góry myślą, iż zwiedzi to malownicze miasto w towarzystwie brata swego i Sénaca. Margrabia jednak zarządził inaczej. Kobiety pozostały na bazarze pod strażą dragomana, obaj zaś przyjaciele z tajemniczemi minami podążyli w stronę przeciwną.

Po godzinie dopiero byli z powrotem i natychmiast puszczono się w dalszą drogę. Quilliane zdawał się być zachwycony swoją wycieczką.

Wieczorem, przy deserze, opowiedział, iż obaj z Sénacem chodzili przypatrywać się almejom; a spostrzegłszy, iż czoło siostry zasępia się:

— Jestto tak dobre widowisko, jak każde inne — dodał. — Nikt z przejeżdżających przez Keneh go nie pomija. Co do mnie, odtąd nie będę mógł patrzeć na tancerki z Opery. No, Albercie, pokaż-że twój album paniom.

Urzędowy rysownik tej wyprawy położył szkice przed panną de Quilliane. Odsunęła zlekka zeszyt.

— Ponieważ — odparła — nie będę już nigdy oglądała baletów europejskich, więc i choreografia arabska nie zajmuje mnie wcale.

Quilliane wzruszył ramionami, Albert zaś schował skalany album do teki.

Nazajutrz rano, gdy Teresa weszła do salonu, znalazła go znowu otwartym. Mimowoli rzuciła wzrokiem na karty i spostrzegła, że jedna była wyrwana.

Na miejsce pięknych *ghâwazi*, Albert odrysował taras „Nephtys" i młodą dziewicę pochyloną nad balustradą. Pod tym szkicem artysta położył napis: *Salve Regina!*

VII.

Dnia następnego, wczesnym rankiem, gdy panna de Quilliane wyszła na taras *dehabii*, przed oczyma jej zarysowały się kontury olbrzymiego kamiennego cielska; w pierwszej chwili nie mogła oprzytomnieć z podziwu.

Owinięty w wieczności swój majestat, różowy od promieni wschodzącego słońca, kolos Memnona zdawał się oczekiwać hołdów od króla dnia i światła.

Wobec tego czterdziesto-wiekowego, a zawsze młodego olbrzyma, którego łono mogło służyć za plac publiczny karłom, stanowiącym współczesne człowieczeństwo, istota ludzka czuła się tak drobną!

Teresa, drżąc ze wzruszenia i zachwytu, stała, jakby skamieniała na pierwszym stopniu schodów i nagle żal jej się zrobiło, że ogląda sama to jedyne na świecie widowisko. Przechyliła się przez balustradę, aby zobaczyć, czy niema Alberta na dole.

Ujrzała go u stóp swoich, pogrążonego także w zadumie.

Już, zapomniawszy o zwykłej sobie powściągliwości, otwierała usta, aby go przyzwać, gdy on, tknięty jakby magnetycznym jakimś prądem, odwrócił głowę ku pięknej swej towarzyszce.

Oczy ich spotkały się, oboje mieli wilgotne powieki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ś. † p.

FRANCISZEK GELB

em. oficyał urzędów podatkowych

po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, zasnął w Panu dnia 25-go sierpnia 1905 r., przeżywszy lat 80.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się w poniedziałek dnia 28 sierpnia b. r., o godzinie 4. po południu z Anatomii na cmentarz Łyczakowski, na który to obrzęd w smutku pogrążone dzieci i wnuki — krewnych, przyjaciół, znajomych i pobożnych chrześcian zapraszają.

Lwów, dnia 25 sierpnia 1905.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

ś. † p.

Ignacy Müller

koncesyonowany budowniczy, członek I. Gal. Korpusu c. k. Weteranów wojskowych i Stowarzyszenia rękodzielników lwowskich „Gwiazda"

przeżywszy lat 62, po długiej a ciężkiej słabości, opatrzony św. Sakramentami, przeniósł się dnia 24. sierpnia r. b. do wieczności.

W smutku pozostała wdowa i brat z Rodziną zapraszają wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie w sobotę dnia 26. sierpnia 1905 roku, o godzinie 5 po południu z domu pod l. 27 ulica Kochanowskiego na cmentarz Łyczakowski.

Lwów, dnia 24. sierpnia 1905.

„CONCORDIA" A. Kurkowski, Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

Redaktor odpowiedzialny Wacław Masłowski.
Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.
Z drukarni E. Winiarza.